

JANUSZ TAZBIR

Polska a Europa

Temat mego referatu doczekał się już całej biblioteki opracowań. Z ostatnich poświęconych mu publikacji na wymienienie zasługuje m.in. zbiór studiów *Polskie wizje Europy w XIX i XX wieku* (oprac. P.O. Loew, Wrocław 2004). Nasze miejsce w Europie stało się również przedmiotem ożywionych sporów politycznych, w których emocje wydają się górować nad racjonalnym myśleniem. Dotyczy to zarówno zdecydowanych zwolenników polskiego udziału w Unii, jak i zagorzałych przeciwników tak daleko idącej integracji z zachodnią Europą. Pierwsi niemal wyłącznie skupiają się na pozytywach tego związku, drudzy interesują jedynie argumenty świadczące o jego szkodliwości. Upraszczając, można powiedzieć, iż w dotychczas prowadzonej propagandzie dominował styl „Naszego Dziennika” czy „Radia Maryja”, z tą jedynie różnicą, iż tam gdzie jedni widzą same plusy, drudzy dopatrują się wyłącznie minusów.

Tymczasem sprawa jest na tyle poważna, że powinniśmy się wystrzec w równym stopniu pamfletów, co i panegiryków. Także i w tym przypadku ideałem intelektualisty winno być racjonalne myślenie, oparte na chłodnej kalkulacji, odwołującej się do doświadczeń historycznych zarówno minionego wieku, jak i ubiegłych stuleci. Marzenia o jedności Europy sięgają czasów antyku i są daleko wcześniejsze od upowszechnienia się tego pojęcia. W jakimś stopniu próbowali je realizować Rzymianie, czego cywilizacyjne ślady przetrwały do dziś. Ich imperium, oparte na „argumentach” miecza istniało stosunkowo najdłużej. Natomiast Hitlerowi tylko przez parę lat udało się utrzymać pod władzą III Rzeszy znaczną część kontynentu, nieco dłużej przetrwało imperium stworzone przez Napoleona. Najtrwalsze, bo istniejące blisko pół wieku, okazało się mocarstwo stworzone po II wojnie światowej przez Stalina. Jego odbudowa nie przestaje się i dziś marzyć rosyjskim nacjonalistom.

Były to jednak wszystko potęgi budowane siłą, wbrew woli podporządkowywanych im narodów i władające jedynie częścią Europy. Nie o takim jej zjednoczeniu marzyły kolejne generacje intelektualistów, przelewających swe na ogół utopijne projekty na cierpliwy papier. Wydaje się wszakże, iż łatwość, z jaką część z nich uległa z jednej strony propagandzie komunistycznej, a z drugiej (w latach 1939-1945) pokusom kolaboracji z hitlerowską Rzeszą, brała się m.in. z naiwnej wiary, iż hegemonia Moskwy czy Berlina przyniesie upragnione zjednoczenie naszego kontynentu. Zapewniłoby ono,

jak się zdarza czytać i w naszej prasie, oczekiwane przez wiele pokoleń intelektualistów, „wejście do Europy”. Sformułowanie takie zakłada, iż istniała jakaś zjednoczona, choć kadłubowa, Europa, do której mieliśmy wejść czy też się przyłączyć.

Owo „wchodzenie” to jedna z kolejnych frazeologicznych pomyłek prounijnej propagandy. Dziennikarzy, którzy z taką lubością zwykli posługiwać się tym sloganem, należałoby zapytać: do jakiej to Europy Polska ma wchodzić, skoro nasz kontynent nigdy w swoich dziejach nie stanowił jedności politycznej czy gospodarczej, a tym bardziej militarnej. Europa była natomiast jednością kulturową i obyczajową i do tej właśnie należeliśmy od czasów średniowiecza. Nasza elita intelektualna uczęszczała na te same uniwersytety i czytała te same książki, co francuska, włoska czy angielska. Wbrew swemu miejscu na mapie kontynentu jej przedstawiciele czuli się mieszkańcami kraju leżącego gdzieś pomiędzy Włochami a Francją (pisał o tym m.in. Jan Parandowski w artykule *Polska leży nad Morzem Śródziemnym*, ogłoszonym w roku 1939). Notabene, przymiotnik „europejski” pojawia się w tytułach polskich dzieł, wydawanych w XVI stuleciu głównie w Krakowie, o pół wieku wcześniej aniżeli w tytułach książek, jakie wówczas ukazywały się w Paryżu, Rzymie lub Londynie. Już u schyłku tego stulecia Klonowic pisał z dumą: „My Europeanie...”. Co więcej, nawet w latach 1956-1989 byliśmy „oknem na świat” dla intelektualistów nie tylko Moskwy czy Kijowa, ale także Pragi, Budapesztu czy Berlina Wschodniego. Tamtejsi uczeni poprzez studia polskich kolegów poznawali osiągnięcia zachodnioeuropejskiej humanistyki. Podobnie jak w XVII stuleciu polszczyzna była językiem elity dworskiej w Moskwie, tak w naszym wieku stała się na pewien czas narzędziem kontaktów bułgarskiej, czeskiej i słowackiej, a przede wszystkim rosyjskiej elity intelektualnej z kulturą zachodnią, poznających ją poprzez zasoby naszych bibliotek. Polskim w dużej mierze inspiracjom zawdzięcza radziecka humanistyka odbudowę badań socjologicznych czy informacje o najnowszych prądach w sztuce i teatrze. U nas miano dostęp do czasopism, nie sprowadzanych do ZSRR, Czechosłowacji czy NRD lub zamykanych tam w prohibitach. W Polsce właśnie były organizowane konferencje, na których uczeni francuscy, niemieccy, angielscy lub nawet amerykańscy spotykali się ze swymi kolegami z terenu środkowowschodniej Europy. Humanistyka była naszym najtańszym towarem eksportowym na kraje sąsiednie, choć ich rządów bardzo się to nie podobało. Po roku 1956 zostały odnowione i zintensyfikowane, przerwane przez II wojnę światową, a następnie lata stalinizmu, kontakty z zachodnią nauką i kulturą – przede wszystkim francuską, w dalszej kolejności amerykańską, angielską czy niemiecką. W tak zwanej Polsce Ludowej utrzymywały je nie tylko małe grupki intelektualistów, ale i dość szerokie kręgi społeczeństwa, z inteligencją na czele. W roku 1962 Julian Mieroszewski pisał na łamach paryskiej „Kultury”: „Polska książka, wydana w Polsce Ludowej, w porównaniu z literaturą sowiecką, w większości jest książką zachodnią [...] Teatr, muzyka, malarstwo, filozofia – nie wyłączając filozofii

marksistowskiej w pewnych jej aspektach – w porównaniu z Sowietami reprezentującą kulturę zachodnią”.

Dość powszechnie sądzono, iż w referendum za Unią Europejską wypowiedzą się wyłącznie „warstwy oświecone”, a po stronie przeciwnej staną ludzie z ukończoną szkołą podstawową. W istocie linia podziału przebiegała zupełnie inaczej i jest publiczną tajemnicą, iż dzieliła ona także przedstawicieli Kościoła, nie wyłączając jego wyższej hierarchii. Wszyscy oni oczywiście wielbią papieża-rodaka i słuchają jego homilii, ale nie wszyscy zgadzają się z pięknym określeniem Jana Pawła II, który powiedział, iż Europa winna powrócić do granic wytyczonych jej przez geografę i historię.

Zwłaszcza historykowi nie wolno wszakże zapominać, iż obawy przed zwycięską inwazją obcej kultury i języka są w Polsce czymś bardzo dobrze, i to co najmniej od pięciuset lat, znanym. Zatraceniem własnej mowy grożono Sarmatom już u schyłku XVI wieku. Po III rozbiorze rozległy się głosy, i to wcale liczne, że niebawem nastąpi zagłada narodu, który zginie tak jak i jego państwo. Straszono nas całkowitą germanizacją, następnie zaś także rusyfikacją. Stalin z kolei wręcz zapowiadał przechodzenie języków narodowych w strefowe, tych natomiast w ogólnoswiatowy. Nic się z tych ponurych wizji nie sprawdziło, dlaczegoż by więc tym razem miały one zostać zrealizowane? Nie przypadkowo nawet nasi językoznawcy ujmowali dzieje mowy Kochanowskiego, Krasińskiego i Mickiewicza w kategoriach darwinowskiej walki o byt. Ileż to prac napisano na temat: walka o język polski w dobie odrodzenia, w epoce oświecenia czy wreszcie w latach zaborów. I jedynie w tym ostatnim przypadku obawy owe były w pełni uzasadnione, albowiem w XVI stuleciu łacina a w dwieście lat później francuszczyzna nie były w stanie zagrozić językowi Sarmatów. Co więcej, na krótko przed zniknięciem Rzeczypospolitej z politycznej mapy Europy, wysuwali oni projekty odgórnego, przymusowej asymilacji zamieszkałych w niej Rusinów (Ukraińców) czy Żydów. Stanisław August Poniatowski w chwili uchwalenia Konstytucji 3 maja dawał wyraz nadziei, iż za mniej więcej 25 lat wszyscy mieszkańcy odnowionej Rzeczypospolitej będą mówić po polsku i wyznawać katolicyzm.

Jeszcze głębsze uzasadnienie historyczne posiada gnębiący Polaków od trzech wieków kompleks braku suwerenności. Gdybyśmy bowiem policzyli lata istnienia naprawdę niezawisłej Polski, to poza okresem Sejmu Czteroletniego, miesiącami powstania listopadowego, latami II Rzeczypospolitej, a wreszcie ostatnią dekadą ubiegłego już stulecia, nic więcej nie dałoby się tu wymienić. Bo przecież Księstwo Warszawskie było równie zależne od Paryża jak Polska Ludowa od Moskwy. I nie należy ukrywać faktu, iż nasze wejście do Unii przyniesie ponowne ograniczenie tejże suwerenności, czyli nadejście nam raz jeszcze „na narodowe odciski”.

Dalsze źródło uniofobii wywodzi się stąd, iż powstała ona na Zachodzie, który w ciągu ostatnich dwustu lat parokrotnie, i to w nader krytycznych chwilach, zawiódł

nasze zaufanie. Francja nie wsparła żadnego z narodowych powstań, od roku 1794 poczynając, mimo że do nich zachęcała. W roku 1815 Paryż i Londyn wyraziły zgodę na utworzenie w obrębie cesarstwa rosyjskiego autonomicznej namiastki Polski, podobnie jak w 140 lat później Waszyngton, Londyn i Paryż zaakceptowały powstanie Polski Ludowej pod hegemonią czerwonego Kremla. Choć w okresie II wojny światowej stanęliśmy po stronie zwycięskiej w końcu koalicji, to jednak – rzecz w historii raczej niespotykana – wyszliśmy z niej nie tylko ze zmniejszonym terytorium, ale i odarci z faktycznej suwerenności. Mimo woli cisną się w tym miejscu na usta znane frazy z *Zemsty* Aleksandra Fredry: „któż za przyszłość nam zaręczy? Nikt rozumny, mocium panie”. Przeciwnicy Unii wizjom wspólnego gmachu, w jakim zamieszkaliśmy po 1 maja tego roku przeciwstawiają niebezpieczeństwo, iż będzie to lokum na poddaszu lub zgoła w suterenie. A więc Polacy i tym razem, jak po roku 1815 czy 1945, mieliby się okazać giermkami historii i halabardnikami dziejów?

W Warszawie, Pradze, Budapeszcie, a ostatnio i w Wilnie czy Bratysławie dostrzega się oczekiwania, aby wzajemne stosunki pomiędzy obszarem zwanym umownie „Europą Środkowowschodnią” a zachodnią i północną częścią kontynentu zostały oparte na zasadach spłaty długu wdzięczności, jaki wobec niej zaciągnięto. Nadal więc przypomina się o roli Polski i Węgier, które były „tarczami Europy”. I o tym, że właśnie w ojczyźnie Sarmatów rozgorzał w 1980 roku płomień, w którym spłonęło ponure „imperium zła”. Kiedy nie znajdowało to należytego oddźwięku w postaci wsparcia finansowego, a „tamta Europa” zwlekała z przyjęciem do NATO czy EWG, nasza prasa pisała wręcz o czarnej niewdzięczności. W wiekach XV-XVII oddano znaczną część kontynentu we władanie Turcji, bo podboje kolonialne wydawały się ważniejsze od krucjat antyosmańskich. Prowadzona od początku XVIII stulecia ekspansja rosyjska w głąb naszego kontynentu nie spotkała się z poważniejszą reakcją ze strony zachodnich metropolii. Waszyngton i Londyn dość zgodnie podpisały wspomniane już układy jałtańskie, wynagradzające hojnie Rosję za wykrwawienie się w walce z III Rzeszą.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że ustępliwa polityka „lepszego Europy” wobec posuwania się najpierw Turcji, a potem Rosji w głąb jej terytorium wynikała także z przekonania, że Polska, Czechy czy Węgry leżą w zdecydowanie gorszej części kontynentu. Chociaż jej mieszkańcy są Europejczykami z racji geograficznych, to jednak w imię spokojnego snu paryżan, rzymian czy londyńczyków winno się zarządzać tymi narodami w sposób despotyczny. Nader znamienity pod tym względem jest *casus* Simone de Beauvoir, która w zgodnym chórze z Sartre'em broniła racji Związku Radzieckiego. W prywatnej rozmowie ta niesympatyczna para miała stwierdzić, że gdyby „les Russes” przyszli do Paryża, to oboje popełniliby chyba samobójstwo. Nie trzeba też przypominać, że polityka okupacyjna III Rzeszy w Europie Środkowowschodniej różniła się diametralnie od tej, jaką prowadzono we Francji, Belgii lub Holandii.

Jest publiczną tajemnicą, że zarysy dziejów Europy wydawane w Londynie i Paryżu kończą się w praktyce gdzieś na linii Łaby. Nie popełnię zbyt wielkiego uproszczenia, jeśli napiszę, że jest to raczej historia krajów należących do Unii Europejskiej (tej sprzed roku 2004) oraz NATO aniżeli dzieje Europy. Co prawda w wydanym w roku 1994 opracowaniu pióra aż dwunastu autorów (*Dzieje Europy*, tłumaczenie ogłosiły Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne) historia Czech została potraktowana nieco obszerniej, ale stało się tak jedynie dlatego, że jednym z autorów był ambasador ówczesnej Czechosłowacji w Belgii pan Jiří Grusa. Dopiero przed czterema laty pojawiła się *Historia Europy Środkowowschodniej*, pod redakcją Jerzego Kłoczowskiego, pióra polskich i francuskich historyków, ale – jak wskazuje sam tytuł – objęła ona tylko część naszego kontynentu. Notabene jej nazwa budzi mimo woli refleksję, iż przymiotnik środkowa jest tu dodany jako swoisty „dezodorant” dla usunięcia nieprzyjemnych skojarzeń, wiązanych z pojęciem Wschodu. Bo któż kiedykolwiek nazywał Francję czy Włochy państwami środkowozachodniej Europy?

Kończenie zainteresowań autorskich na linii Łaby dotyczy także zarysów dziejów wielkich prądów umysłowych czy ruchów religijnych. Wystarczy przypomnieć, iż liczące ponad 1500 stron druku dzieje protestantyzmu, pióra E. Leonarda (1961), historii reformacji w naszym kraju poświęcają zaledwie kilka stron druku. Podczas obchodów czterechsetnej rocznicy uchwalenia edyktu nantejskiego (1998) z wypowiedzi francuskich badaczy wynikało, iż to był pierwszy akt tolerancyjny w całej Europie. Zapomniano (?) o konfederacji warszawskiej, uchwalonej ćwierć wieku wcześniej. Nasi przodkowie właśnie edykt nantejski ochrzczili mianem „francuskiej konfederacji”, wyrażając ubolewanie, iż jej twórcy tak późno przyszedli do używania „rozumu politycznego” w sprawach wiary. W roku 1925 wybitny znawca dziejów reformacji, Stanisław Kot, napisał, iż godząc się na uchwalenie wielkiej karty polskiej tolerancji (konfederacji warszawskiej) szlachta polska „wyprzedziła narody zachodnie, które dopiero przez strumienie krwi w bratobójczych wojnach doszły do tej zasady”.

Dochodzi to takiego kuriozum, iż w leksykonie Dominique Szenes *Najsłynniejsze powieści literatury światowej* (francuski oryginał ukazał się w 1992 r. w Paryżu) znajdujemy nawet literaturę nowoafrykańską, natomiast nie został wymieniony żaden z autorów polskich (choć jest wśród nich aż trzech noblistów); to samo dotyczy i węgierskich. Najlepiej potraktowano Czechów: do leksykonu trafił *Proces* Franza Kafki i *Żart* Milana Kundery. Ubolewaniom nad naszą nieobecnością w pamięci tamtej – „lepszej Europy” zwykło towarzyszyć głośne bicie się w piersi. To nasza wina, bo nie tłumaczymy książek (beletrystyki i prac historycznych) na języki kongresowe, nie dbamy o włączanie polskich pisarzy czy mężów stanu do europejskich kompendiów.

Jak wynika z arcyciekawego studium Anny Ciencialy na temat obrazu Józefa Piłsudskiego w angloamerykańskich kompendiach historycznych (ogłoszonego w tomie:

Polskie mity polityczne XIX i XX wieku) po dawnemu królują w nich negatywne i krzywdzące stereotypy oraz błędne informacje. Autorka, wybitna znawczyni dziejów najnowszych, przebywająca od 1940 r. w USA, ubolewa, że w tychże podręcznikach i encyklopediach nasze zwycięstwo z roku 1920 przypisuje się nie tylko talentom strategicznym Francuzów, którzy ułożyli plan rozstrzygającej bitwy, ale i ich bezpośredniej pomocy wojskowej. Piłsudski występuje w encyklopediach jako prezydent, który po roku 1926 obwołał się dyktatorem. Polskie opory wobec linii Curzona są tłumaczone naszym nacjonalizmem oraz silnymi tendencjami imperialnymi. Autorzy odpowiednich haseł biograficznych i rozdziałów w podręcznikach nie zadali sobie trudu sięgnięcia do publikacji polskich historyków, wydawanych na Zachodzie i w USA po angielsku. Na czołowym miejscu Anna Cienciąła wymienia tu prace Piotra Wandycza, który już w roku 1957 wytykał amerykańskim kolegom brak zainteresowania dla spraw środkowo-wschodniej Europy, a co więcej – mylne informacje na jej temat. Można ze smutkiem powiedzieć, pisze prof. Cienciąła, że od tego czasu niewiele się poprawiło.

Ludzie (a historycy są też ludźmi) niechętnie zmieniają poglądy. Obok lenistwa i niedbalstwa działa również czynnik, który prof. Cienciąła tłumaczy po freudowsku: zachodnie wyrzuty sumienia za oddanie niedawnego sojusznika pod sowiecką dominację „można było stłumić, potępiając Polskę za jej rzekomy feudalizm, imperializm, fałsz.”

I pora przestać udawać, iż uczyniono to w dobrej wierze, mianowicie w nadziei na ewolucję Moskwy w kierunku demokracji czy przestrzegania przez nią postanowień o wolnych wyborach w Polsce lub na Węgrzech.

Odtajnianie archiwów dotyczących pertraktacji toczonych w okresie II wojny światowej wykazało, że zarówno Waszyngton, i jak Londyn nie żywiły pod tym względem żadnych złudzeń. Doskonale tam wiedziano, kto jest prawdziwym sprawcą zbrodni katyńskiej i jak przebiegały stalinowskie czystki. Należało wszakże czymś wynagrodzić Rosję, która poniosła tak duże ofiary. Wyrzuty sumienia rozpraszano wygodnym stwierdzeniem, że owe na półgłotyczne ludy nie dojrzały jeszcze do prawdziwej demokracji.

Błąd Zachodu polegał na czymś zupełnie innym. Wierziono tam w przestrzeganie przez obóz komunistyczny raz ustalonych granic wpływów. Skoro Rosja – rozumowali zachodni politycy – nie interweniowała w greckiej wojnie domowej i nie rozprawiła się zbrojnie z Titowską frondą, to i inne ustalenia będą przez nią dotrzymanywane. Stąd tak wielkim wstrząsem okazał się najpierw kryzys berliński, a następnie wybuch wojny w Korei. Państwa, które nie chciały, aby ich żołnierze umierali za Wilno czy Lwów, odsunęły tylko w czasie spełnienia się logiki dziejów.

W 1950 r. żołnierze ci zaczęli ginąć za Seul, później za Wietnam Południowy, by w 1962 r. stanąć wobec groźby wojny atomowej na Kubie, gdzie Związek Radziecki rozlokował wyrzutnie raketowe.

Warto o tym wszystkim dziś przypominać i to zaczynając od postawy Francuzów w 1939 r. Nie chcieli oni wówczas umierać za „Dantzik”, wobec czego przez sześć następnych lat musieli ginąć za Paryż. To przede wszystkim w interesie Zachodu leży niedopuszczenie do nowej Jałty, skoro odbudowa hegemonii Moskwy na obszarach byłego Związku Radzieckiego stanowiłaby tylko pierwszy krok na drodze do nowego podziału Europy na strefy wpływów, może tym razem oparte nie o Łabę, lecz o Ren. Historia może się powtarzać w tempie znacznie przyśpieszonym: za pierwszym razem uzyskanie szerokiego dostępu do Bałtyku i Morza Czarnego zajęło Rosji kilkaset lat. Dzisiaj może to nastąpić w ciągu lat kilku.

My tymczasem dość często bezradnie pojękujemy, wypominając Zachodowi, iż ojczyznę Jana III Sobieskiego i Jana Pawła II złożył na ołtarzu porozumienia z Moskwą. „Ciągłe tylko mówimy o naszych nieszczęściach, a cudzych winach. Może gdybyśmy zaczęli mówić o cudzych nieszczęściach, a naszych winach, głos nasz nabrałby nowej siły, tak potężnej, że wszyscy zwróciliby uwagę” – pisał w 1887 r. Bolesław Prus.

W tym przypadku nasza wina polega na tym, że od przeszło dwustu lat nie potrafimy rozmawiać z Zachodem językiem, który byłby dla niego zrozumiały. Z kolei nieszczęściem Zachodu jest, że tylekroć wystawiany do wiatru, wydaje się znów skłonny uwierzyć w zapewnienia i obietnice Kremla. Łatwiej pod tym względem zrozumieć Paryż, skoro już od XVIII wieku poczynając (pierwsi zapłonęli zachwytem encyklopedyści), pozostaje pod nie słabnącym urokiem Rosji, wszystko jedno – białej, czerwonej czy tej spod znaku Żyrynowskiego. Trudniej pojąć Londyn, który sam przecież tak chętnie nie dotrzymywał obietnic składanych słabszym, kiedy tylko okazywali się już zbyt tchelnymi. Polacy przekonali się o tym aż nadto wymownie zarówno w 1939, jak i w 1945 roku.

Na żadnym z dokumentów decydujących o dalszym naszym losie, od traktatu pieczętującego III rozbiór po układy jałtańskie, nie odnajdziemy ani jednego podpisu któregoś z polskich dyplomatów. Nie mieliśmy też żadnego wpływu na decyzje Sankt-Petersburga czy Berlina o nasileniu rusyfikacji (*recte* germanizacji). Ale prawdą jest również i to, że w czasie referendum z roku 2004 po raz pierwszy od bardzo wielu lat mogliśmy współdecydować o naszym dalszym losie. I że pozycja Polski w Unii będzie w znacznym stopniu zależać od tego, jaką ją sobie wypracujemy. „Idą bowiem czasy, których znamię będzie wyścig pracy, tak jak dawniej był wyścig krwi, tak jak dawniej był wyścig żelaza”. Nie są to słowa wypowiedziane przez żadnego z ideologów polskiego pozytywizmu; napisał je Józef Piłsudski.

Nie wierzę w groźbę wynarodowienia, choć obecnej „zmianie warty” (francuski ustępuje pod naporem angloamerykańskiego) towarzyszy wyraźne ubożenie naszego języka, który zwłaszcza w zakresie terminologii technicznej, choć nie tylko, zaczyna stanowić kalkę mowy Anglosasów. Ale i tej groźby bym raczej nie wyolbrzymiał, bo terminologia techniczna, wojskowa czy administracyjno-urzędnicza została, na przykład

w Rosji XVIII wieku przejęta z niemieckiego, a mimo to sto lat później rosyjska literatura piękna zajmie jedno z pierwszych miejsc w Europie.

Istotne niebezpieczeństwo tkwi natomiast w konkurencji gospodarczej, której możemy sprostać jedynie za cenę wspomnianego powyżej wyścigu pracy. Propaganda antyunijna wydawała się tego nie dostrzegać, główne zagrożenie upatrując w utracie samoistności etnicznej i zaniku świadomości historycznej, wiążącej nas z wszystkimi poprzednimi generacjami Polaków. Trudno zresztą nie dostrzec, iż w dyskusjach na temat Unii dawały się słyszeć pogłosy dwóch utopii: tej intelektualnej: oto za naszego życia zostaną zrealizowane odwieczne marzenia mędrców o pokojowym współistnieniu narodów w jednej wspólnotcie, stanowiącej zarazem tarczę obronną. I utopii ludowej, zwanej kokanią, krainą pieczonych gołąbków, Schlaraffenlandem czy jak ją tam jeszcze ochrzcimy. Wejście do wspólnoty, ale bez wysiłków, bez wzmożenia wydajności pracy i podwyższenia jakości produkcji.

Zwolennicy pierwszej z tych utopii pragnęliby się stać prawdziwymi Europejczykami, obrońcy drugiej obawiają się roztopienia polskości w morzu narzucanego z Brukseli i Strasburga kosmopolityzmu. Obie strony nie bardzo w gruncie rzeczy zdają sobie sprawę z tego, iż na naszych oczach następuje rozpad tradycyjnego patriotyzmu, który zakładał, że miłość do ojczyzny winna być bezinteresowna. Jej jedyną opłatę może zaś stanowić zaszczytna wzmianka w podręcznikach szkolnych. Tymczasem młode generacje Polaków uważają, że służba krajowi musi być należycie wynagradzana. Jeśli nie, to można go zamienić na zgoła inną ojczyznę.

Dawniej wyjeżdżający na emigrację deklarowali wolę powrotu do kraju, gdy tylko znajdą w nim chleb i wolność narodową oraz polityczną. Obecnie, zwłaszcza przy wyjazdach do RFN i USA, słyszy się bez większej żenady wygłaszane pragnienie, aby potomkowie emigrantów mogli stać się pełnoprawnymi obywatelami tych państw, przejmując język, kulturę i obyczaje ich mieszkańców.

Zmiana miejsca zamieszkania przestaje być rozpatrywana w kategoriach narodowej zdrady. To samo dotyczy i zmiany narodowości. Popularny w XIX stuleciu wierszyk mówił:

Niemiec spolszczony cześć powszechną budzi.

Polak zniemczony jest ostatnim z ludzi.

Dziś natomiast przestajemy uważać, że tenże Niemiec, przyjmujący polski język, obyczaj i tradycję historyczną, ulega chwalebnej asymilacji, natomiast Polak postępujący w analogiczny sposób, jeśli idzie o niemiecki język etc., stanowi smutny przykład wynarodowienia. Notabene w obrębie zintegrowanej już zachodniej Europy nie daje się zaobserwować masowego przemieszczania się jej mieszkańców z jednego kraju do drugiego.

Co więcej, procesy integracyjne nie przyniosły ze sobą zaniku świadomości narodowej Francuzów, Hiszpanów, Włochów czy Niemców. Wręcz przeciwnie, sprzyjają

one w jakimś stopniu rozbudzaniu się antagonizmów narodowościowych. Wybuchowy, w przenośni i dosłownie, nacjonalizm baskijski stawia sobie za cel oderwanie tego terytorium od reszty Hiszpanii, w Belgii skłócił on Wallonów z Flamandami. W nieco łagodniejszym stopniu znalazło to wyraz w dążeniu części Bretończyków do uzyskania autonomii. W mało poważnym zaś w projektach wyodrębnienia północnych Włoch, jako tak zwanej Padanii, uniezależnionej od „biednego i leniwego” Południa. Otóż nic nie wskazuje na to, aby podobne procesy mogły zachodzić w Polsce. Kaszubi nie domagają się bowiem, jak na razie, osobnego państwa, a i postulaty zwolenników istnienia narodowości śląskiej nie zyskały zbyt szerokiego poparcia.

Unia jest niewątpliwie wielkim wezwaniem dla Polski, bardziej zresztą gospodarczym aniżeli cywilizacyjnym. Jest też zarazem kolejną wielką szansą dotrzymania kroku Zachodowi w jego tak prężnym rozwoju. Odwołując się znowu do doświadczeń historycznych, pragnę przypomnieć, iż ilekroć znajdował się on na wirażu dziejowym, tylekroć coś przeszkadzało Rzeczypospolitej w doganianiu Europy. Warto na marginesie przypomnieć, iż sportowej paraboli z wyścigiem użył już Andrzej Frycz Modrzewski, który żarliwie zachęcał rodaków do aktywnego w nim udziału. Nie są przecież chromi czy mało zdolni, dla czegożby więc mieli pozostawać „w tyle za całą kolumną biegających”. W XVII w. przeszkodę stanowiły wojny, w następnym stuleciu rozbiory, w XIX w. ich konsekwencje w postaci obcych rządów, w drugiej połowie ubiegłego stulecia dominacja Kremla (choć było to jedyne w dziejach imperium, w którym ludności „kolonii” wiodło się lepiej aniżeli mieszkańcom metropolii). Z otwierającej się w początkach naszego stulecia szansy nie wolno nie skorzystać, choć jest rzeczą oczywistą, iż niesie ona ze sobą pewien ładunek ryzyka.

Jego rozmiary zależą od tego, co my możemy dać krajom Unii. Z polskich doświadczeń historycznych na pewno zdolność oddolnej organizacji w sensie tworzenia samorządów i struktur władzy. Raz jeszcze powtórzę w tym miejscu, że Polakom zarówno w latach najazdu szwedzkiego, jak i w okresie powstania roku 1863, a przede wszystkim w latach II wojny światowej, lepiej udawały się państwa podziemne aniżeli „naziemne”. Opozycja polityczna, uważana w sąsiedniej Rosji za przestępstwo, u nas należała do podstawowych cnót obywatelskich. Mamy również za sobą tradycje kraju, w którym zgodnie współżyły różne grupy etniczne i religijne, wspólnoty o odmiennej tradycji historycznej i odmiennej kulturze. I to również może się przydać we wspólnocie państw Europy.

Z jednego wszakże doświadczenia historycznego czerpię otuchę na przyszłość: skoro udało się nam w tak szybkim tempie, mianowicie w latach 1918-1939, skleić jedno państwo z trzech zaborów, to dlaczego nie moglibyśmy powtórzyć tych doświadczeń, współuczestnicząc w „sklejaniu Europy”? Jest to poniekąd zabieg o charakterze chirurgicznym i należy wszystko uczynić, aby ta operacja była dla Polaków jak najmniej

bolesną. Rolę anestezjologów winni tu odegrać w jakimś stopniu również i historycy, zrywając z niedobrymi tradycjami swego przedmiotu. Podręczniki historii nie mogą nadal opisywać całych dziejów Polski jako preludium do rozbiorów, skupiać się na martyrologii, klęskach i wzajemnych rzeziach.

Oburzał się na to Wojciech Jastrzębowski, pisząc w *Konstytucji dla [zjednoczonej] Europy* (1831): „Podania historyczne o sławie nabytej orężem, zostaną puszczone w wieczną niepamięć, albo powtarzane tylko będą jako ohydne pamiątki z upłynionych 59 wieków barbarzyństwa”. Masochistyczne rozpatrywanie dawnych klęsk i cierpień oraz ciągłe patrzeć w lustro narodowych nieszczęść charakteryzuje narody po macoszemu traktowane przez historię. Stąd tak silny w XIX i XX stuleciu rozwój mitu Polski jako przedmurza, który nie zachowałby swej parowiekowej żywotności, gdybyśmy nie musieli wymachiwać przed zachodem Europy niespłaconym wekslem obrony jej wolności, której zagrażali wschodnio-azjatyccy barbarzyńcy.

Swoje odrębne miejsce na cywilizacyjnej mapie zintegrowanej Europy należy jednak dokumentować wielowiekowym wkładem do jej cywilizacyjnego rozwoju, wzajemnym oddziaływaniem na sąsiadów, słowem przenikaniem i symbiozą kultur. Na tej właśnie osi tematycznej winna zostać oparta wspólna historia Europy, której podręczniki (obok zarysu dziejów ojczystych) powinny jak najprędzej znaleźć się w szkołach. Ich autorzy muszą opanować trudną umiejętność pomyślnego przepłynięcia między Scyllą narodowej megalomanii („my pierwsi w Europie...”) a Charybdą kompleksu niższości (zawsze byliśmy „halabardnikami dziejów” i „giermkami historii”). Trudno i darmo: trzeba się pogodzić z faktem, że jedne kraje Europy stanowiły „kolebki” nowych prądów, ruchów religijnych czy epok w historii kultury, inne zaś pełniły rolę pośredników. Renesans wyszedł z Włoch, reformacja narodziła się w Niemczech (choć i Czesi przyznają się do roli jej „ojców” ze względu na husytyzm), oświecenie miało swój początek w Anglii, Niderlandach i Francji. W roli pośredników występowała zaś Polska, zarówno w XVII stuleciu, jak i w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Pisałem na ten temat parokrotnie, m.in. w niewielkiej objętościowo książeczce *Mysł polska w nowożytnej kulturze europejskiej* (Warszawa 1986). W ostatnich latach także i w Rosji pojawiła się wcale obfita literatura na ten temat.

Jako wieloletni członek komisji UNESCO do spraw podręczników historii i geografii, używanych w szkołach polskich i niemieckich, wiem, jak wielkie trudności nasuwa uzgadnianie ocen i opinii. Stwarza je nie tylko zawikłana historia ubiegłego stulecia, ale i czasy bardzo nieraz odległe (do dziś nie udało się nam wypracować wspólnego poglądu m.in. na dzieje zakonu krzyżackiego). Jeszcze większe trudności stały i stoją nadal przed komisją polsko-rosyjską do spraw podręczników. Wystarczy tylko jeden przykład z wielu: w podręczniku dziejów Rosji dla klasy 10, pióra Buganowa i Zyrianowa, wydanym w roku 2000 (sic!) czytamy na przykład, iż Suworow bardzo humanitarnie obszedł się

z mieszkańcami Pragi podczas szturmów Warszawy w roku 1794. Następnie zaś sprzeciwiał się represjom wobec pokonanych Polaków i kontrybucjom, jakie na nich nakładano. Przez to popadł w niełaskę u Katarzyny II i został przez nią odwołany. Co pozostawiam bez komentarza... Nie wierzę natomiast w możliwość uzgodnienia zapisu w podręcznikach, szczególnie w przypadku państw sąsiadujących z Polską, choć nie tylko. Nasze klęski będą bowiem zawsze przedstawiane jako zwycięstwa i *vice versa*. Pozwolę tu sobie zacytować anegdotę o Francuzie, który po powrocie z Londynu nazwał Anglików masochistami. „My bowiem – powiedział – w nazwach paryskiego metra czcimy nasze tryumfy (Jena, Wagram, Austerlitz), synowie Albionu natomiast klęski (Trafalgar, Square, Waterloo)”. Uczestnicząc przez wiele lat w pracach komisji podręcznikowej Polska-RFN, przekonałem się jak mało w podręcznikach obu stron zmieniono i jak wiele punktów musieliśmy wpisać do tak zwanego protokołu rozbieżności. Do Unii wchodzimy z nowym typem bohatera narodowego. Nie jest nim godny współczucia nieudacznik, ale człowiek sukcesu. W Polsce doby zaborów bywało zupełnie odwrotnie. W XIX stuleciu nasza poezja, a po części i powieść historyczna, na równi z wielkim dramatem romantycznym, zaczynają sławić przegranych przywódców. Jeśli nawet mieli oni w karierze wojskowej zwycięskie bitwy lub całe kampanie, to do narodowej tradycji przechodzili jednak w ostatnim, tragicznym momencie swego życia. Jeszcze w legendzie Tadeusza Kościuszki zwycięzca spod Racławic (1794) jak gdyby konkuruje z człowiekiem, który, pojmany do niewoli pod Maciejowicami, miał rzekomo powiedzieć: *Finis Poloniae* (ta nieprawdziwa legenda utrzymuje się zresztą po dziś dzień). I który swą karierę polityczną zakończył jako więzień mściwej Katarzyny II.

Ale już księżę Józef Poniatowski tkwi w narodowej pamięci nie jako ostateczny tryumfator w wojnie polsko-austriackiej z roku 1809, lecz jako tragiczny heros, który po „bitwie narodów” (1813) dobrowolnie wybrał śmierć w nurtach Elstery. Bohaterowie powstania listopadowego: Emilia Plater, umierająca w chacie leśnika, i Józef Sowiński, ginący na szaniecach Woli (1831), a potem styczniowego (1863) z Romualdem Trauguttem na czele, wszyscy oni utrwalali w polskiej świadomości historycznej przekonanie, iż ostatecznym losem przywódcy walki o niepodległość musi być – w warunkach polskich – bohaterska śmierć w boju, na szubienicy czy przed lufami plutonu egzekucyjnego.

Ten właśnie finał utrwalala często i chętnie nie tylko poezja, ale i ikonografia patriotyczna. Zgodna w tym zresztą z malarstwem innych krajów. I tu się niejako kończy nasza specyfika, skoro również i w innych krajach Europy malarstwo doby romantyzmu tak chętnie powielalo obraz przegranego wodza. Odnosił on zwycięstwo moralne jako wzorzec dla następnych pokoleń, ale połączone z klęską militarną i polityczną. Nasz śpiewany z większym zapalem aniżeli zrozumieniem hymn narodowy nie wahał się jego słuchaczom postawić za wzór nie tylko boga wojny, Napoleona, ale i wodza niedawno przegranego powstania, Tadeusza Kościuszki.

Skoro już o Bonapartem mowa jego kariera, choć pozbawiona happyendu, zafascynowała literatów wielu krajów. Najdłużej wszakże przetrwała w Polsce, każąc – jak słusznie napisał Jan Lechoń – wątpić dzieciom, czy Napoleon nie był Polakiem (a któż dziś zresztą wie, że tak niedawno czczony św. Wojciech był Czechem, a św. Kinga Węgierką?). Wybitny poeta i bystry obserwator przemian naszego patriotyzmu o wiele trafniej od zawodowych historyków określił powody, dla których legenda napoleońska okazała się w Polsce bardziej żywotna od francuskiego bonapartyzmu. Na przykładzie Ignacego Rzeckiego z *Lalki* Prusa, Lechoń przekonująco wykazał, iż kult zwycięskiego cesarza był jedną z odmian strawnego cenzuralnie szyfru. Iluż to bowiem jej czytelników w ślad za starym subiektem Rzeckim nie wypatrywało w dziennikach informacji, czy się nie pojawił jakiś nowy Napoleon, ten, który tym razem na zawsze przepędzi z ziem polskich zarówno Niemców, jak i Moskali. Podobnie zresztą jak poza Francją jedna tylko Polska była zamieszkała przez kolejne pokolenia wielbicieli Bonapartego, tak dziś stanowimy jedyny chyba kraj w Europie, w którym Stany Zjednoczone oraz ich prezydenci znajdują tak wielu entuzjastów.

Rzadko które państwo w tym samym stuleciu dwukrotnie odzyskuje polityczną suwerenność. Tak właśnie było z Polską zarówno w roku 1918, jak i 1989. Nie mogło to pozostać bez wpływu na radykalną zmianę wzorca bohatera narodowego. Z bohater-skiego męczennika walki o wolność staje się on człowiekiem sukcesu. Przemianę tę zapoczątkował Józef Piłsudski, zwycięzca nad czerwoną Rosją z roku 1920, który umarł jako faktyczny władca odzyskanej ojczyzny. Ten sam wzorzec utrwała obecny papież Jan Paweł II, w którego elekcji i rządach wszyscy Polacy, niezależnie od konfesji czy zupełnego braku wiary, widzą niewątpliwy dowód narodowego sukcesu. Poprzedni zwierzchnicy Kościoła katolickiego byli przede wszystkim papieżami, Karol Wojtyła jest dla nas w pierwszym rządzie Polakiem, wykorzystywanym reklamowo na wszelkie możliwe sposoby (niedawno i w warszawskich cukierniach pojawiły się „papieskie kremówki”, nazywane dawniej „napoleonkami”).

Kiedy w roku 1878 wśród kandydatów do tiary pojawił się również kardynał Mieczysław Ledóchowski (na konklawe otrzymał bidulek zaledwie jeden głos, miejmy nadzieję, iż nie własny) Fiodor Dostojewski zanotował (w *Dzienniku* pisarza), iż jego wybór byłby wielkim nieszczęściem dla Rosji. Bo przecież wiadomo, że polski papież nie robiłby nic innego tylko zajmował się restytuowaniem „ojczyzny”. Istotnie, Jan Paweł II zrobił bardzo wiele na polu odzyskania przez Polskę suwerenności (słynne: „nie lękajcie się...”). Ale kiedy Kreml w pełnej zgodzie z kapitalistycznym Zachodem tworzył tak zwaną Polskę Ludową, nie mógł przecież przewidzieć, iż w trzydzieści lat po ugodzie w Jałcie obywatel zniewolonego kraju zostanie papieżem.

Jeszcze raz pragnę podkreślić, iż polskie referendum w sprawie wejścia do Unii było zarazem egzaminem z naszej dojrzałości politycznej. Ale skoro od tyłu wieków jesteśmy

z Europą we wspólnocie kulturowej, a od paru lat także i militarnej, dalsze kroki na tej drodze wydają się wręcz konieczne. Jeśli się powiedziało „a”... A o ścisły mariaż z resztą Europy warto i należy się starać. Pięknie o tym pisał przed laty Kazimierz Wierzyński w wierszu zatytułowanym *Europa*, którego fragmenty pragnę na zakończenie zacytować:

Miłości gorzka, niepocieszona,
Matko nasza, Europo,
Po starych biegnę kamieniach,
Po śladach zatartych, wspomnieniach
Za twą odciśniętą stopą.
Matko miłosna, tym się ratuję
I myślę, że ciebie ocalam też,
Europo, requiem najbliższych mi zgonów,
Ojczyzno wieczornych akordeonów,
Ulicznych tańców paryskich,
Rozet gotyckich
I bożych wież.
Powtarzam twoje imiona
I ogarnia mnie podziw i strach,
Że ponad ludzką małość zuchwałą
Coś podobnego z twej garści powstało
Jak Szekspir i Bach.

W wierszu tym Poeta zawarł miłość i podziw dla kontynentu, którego Polska nigdy przecież nie opuściła*.

Poland and Europe

Poland's accession to the European Union (2004) was not a "return" and, even less so an "entry" into Europe, for Poland has always belonged to Europe. Certainly, not all Poles realized that they were citizens of a big European community of culture and morals. Despite misgivings expressed by some parties and publicists connected with them, the European Union does not threaten Polish culture, language and historical consciousness. Economic competition can be a danger but at the same time it is a challenge: whether we live up to it or not depends on the Poles themselves. This is something unprecedented in our history, for in the 19th and 20th centuries the historical fate of Poles was seldom in their own hands.

Key words: Poland, Europe, European Union

* Zagadnienia poruszone w tym artykule były również tematem wystąpienia na 12. Ogólnopolskim Zjeździe Socjologicznym w Poznaniu w dniu 15 września 2004